
I obiecuję ci miłość...
Marta W. Staniszewska
Książka autorki "Nigdy cię nie zapomniałam"
i "Nigdy nie pozwolę ci odejść"

Marta W. Staniszewska
„I obiecuję ci miłość"

Copyright © by **Marta W. Staniszewska**, 2016
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Korekta: **Janusz Sigismund**
Ilustracje na okładce: © **Photographee.eu – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-7900-528-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Gdybyś kiedy we śnie poczuła, że oczy moje
już nie patrzą na ciebie z miłością, wiedz,
żem żyć przestał.
S. Żeromski

Spis treści

Rozdział 1 6
Rozdział 2 35
Rozdział 3 42
Rozdział 4 57
Rozdział 5 77
Rozdział 6 83
Rozdział 7 90
Rozdział 8 100
Rozdział 9 107
Rozdział 10 124
Rozdział 11 129
Rozdział 12 143
Rozdział 13 150
Rozdział 14 155
Rozdział 15 158
Rozdział 16 165
Rozdział 17 176
Rozdział 18 202
Rozdział 19 211
Rozdział 20 232
Rozdział 21 241
Rozdział 22 249
Rozdział 23 258
Rozdział 24 264
Rozdział 25 269
Rozdział 26 282
Posłowie 285
Przypisy 286

Podziękowania

Dziękuję za cierpliwość i wytrwałość w oczekiwaniu wszystkim moim ukochanym Czytelniczkom.
Szczególnie dziękuję tym, które swoimi słowami uznania i wyrazamizadowolenia z miło spędzonego czasu z książką, dały mi motywację, aby dokończyć tę powieść.
Choć niedługa i banalnie przewidywalna, dała mi sporo radości i chyba pomogła odnaleźć więcej mnie, we mnie.
Boję się, co odnajdę po napisaniu kolejnej…

MWS

Rozdział 1

– Nieładnie się tak gapić, Izabello Colombe-Dębska – skarciła ją Magda z figlarnym uśmiechem. – *Un tel comportement n'est pas approprié pour une dame.* Takie zachowanie nie przystoi damie.

– Nic nie mogę na to poradzić, on sam przyciąga ludzki wzrok. Jakby się tak nie wygłupiał, nikt nie zwróciłby na niego uwagi – odmruknęła Izabella, jakby rozdrażniona, ale w myślach zaprzeczała sama sobie.

Przyglądała się aż nazbyt intensywnie trzem żartującym i szturchającym się mężczyznom, a jednemu w szczególności. Wincent Porter od zawsze wydawał jej się fascynujący. Izabella tłumaczyła sobie, że lubi na niego patrzeć, jak na okaz w zoo i analizować zachowanie niczym ornitolog obserwujący taniec godowy orła. Ten orzeł krył jednakże w sobie jakąś zagadkę, której nie umiała rozwikłać po dziś dzień. Dlaczego akurat skojarzenie z orłem? Całkiem przypadkiem, jak się okazuje, bo kojarzyła go też ze smokiem, gdy na nią patrzył, z lwem, kiedy rozmawiał z jej mężem i z rekinem, gdy pilnował interesów. Miał u niej mnóstwo zwierzęcych przydomków. Dla większości ich wspólnych znajomych był jednak jak rozkoszny tygrys – bezustannie na polowaniu. Pozornie uśpiony, lecz w ciągłej gotowości do ataku. Oczywiście tylko wtedy, gdy nie drzemie po całonocnej orgietce lub akurat na jednej z nich nie jest, co ponoć zdarzało się bezustannie.

Nikt go tak naprawdę nie znał, ale wyrobiona opinia hulaki i playboya ewidentnie mu nie przeszkadzała. Wręcz podsycał ją i karmił.

– Taki już jego urok, ale nie da się zaprzeczyć, że jest na co popatrzeć. Eriś też wygląda dziś barrso apetycznie… – Magda była w szampańskim nastroju. Zawsze wtedy jej i tak dobrze słyszalny francuski akcent uwydatniał się i nabierał warczącej, podnieconej nutki.

Iza jedynie lekko przytaknęła i od razu zmieszała się, czerwieniejąc mimowolnym odruchem.

– Mam męża. Nie interesują mnie inni mężczyźni.

– To, że wyszłaś za mąż, nie odbiera ci prawa do podziwiania sztuki. Nawet jeśli dotykanie tego dzieła jest zarezerwowane wyłącznie dla kobiet z rozszalałym libido. Czy Tomek zabrania ci chodzić do muzeum?

Odpowiedź na to pytanie nie była tak oczywista, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, ale Iza nie śmiała się do tego przyznać przyjaciółce. Nigdy zresztą nie przyznałaby się nikomu. Magda nie zrozumiałaby delikatnej relacji Izabelli z jej mężem. W sumie nie zabraniał jej nigdzie wychodzić, ale też nie pamiętała wydarzenia, bo byłoby to nie lada wydarzenie, kiedy wyszła gdziekolwiek – na babski wypad lub chociażby z bratem do kina, bez towarzystwa męża albo jego wymownego sprzeciwu. Samodzielne zakupy, bez zbędnej skromności, można było okrzyknąć incydentem. On za to często spędzał wieczory poza domem. Raz impreza z kumplami, innym razem firmowa kolacja, a jeszcze innym – Bóg jeden wie co. Warszawa oferowała swoimi otwartymi ulicami gąszcz klubów, w których mąż mógł zniknąć na godzinkę lub dwie. Co do szczęśliwości jej małżeństwa… W tej materii również miałaby wiele do powiedzenia, ale nadal

łudziła się, że to chwilowy kryzys. Byli w końcu dwa lata po ślubie, a znali się od siedmiu. Wprawdzie od dnia zaślubin nigdy idealnie im się nie układało, ale jakoś trwali. A to, że w łóżku nie było rewelacji? Cóż, Iza nie miała innych mężczyzn przed Tomkiem, choć po tych doświadczeniach mogła z całą stanowczością stwierdzić, że sprawa seksu była mocno przereklamowana. Jednak w głębi duszy wiedziała, że prawda była zupełnie inna, bo w nielicznych chwilach, gdy samodzielnie sprawiała sobie przyjemność, jej ciało reagowało zgoła inaczej niż działania męża.

Tomasz nie proponował jej zbliżeń od kilku miesięcy. Z jednej strony czuła się odtrącona, z drugiej cieszyło ją, że nie musi zmuszać się do dość zbędnej w jej życiu czynności. Mąż był jej pierwszym poważnym chłopakiem, więc jeśli chodzi o związki, jako takie, zdecydowanie nie miała porównania. Wyjątkiem potwierdzającym swoistą regułę i jedynym elementem relacji damsko-męskiej, jaki umiała skonfrontować z rzeczywistością, był pocałunek. Pewien wyjątkowy i nieporównywalny z żadnym innym, wspominała w snach nader często, ale że nie był dzielony z jej mężem, starała się odsuwać te myśli, zakopać, podrzeć, lecz one natrętnie powracały. Wspomnienie to nie było przyjemne – dawało ból gdzieś głęboko w środku, dlatego z czasem Izabella nauczyła się żyć obok niego, tak jakby ono wcale nie było jej wspomnieniem, a kadrem z niegdyś obejrzanego filmu. Takiego filmu, który chcesz zapomnieć.

– Może i mąż nie zabrania mi chodzenia gdziekolwiek… – zaczęła Izabella, poważniejąc – ale nie byłoby mi do śmiechu, gdyby Tomek przyglądał się innym kobietom, gdy dokazują między sobą.

– Dokazują? Naprawdę? – Magda zachichotała, kręcąc głową i zatrzymała kelnera, aby sięgnąć do tacy po kolejnego kolorowego drinka. – Uwielbiam, kiedy tak świntuszysz, Colombe – zadrwiła dobrodusznie. Szczerze kochała owe dziwne, staroświeckie wyrażenia i zwroty, które nieraz zupełnie bezwiednie wyrywały się z ust Izabelli.

Magdalena, a właściwie Madeleine Marie Dubois miała inny pogląd na „te sprawy", ale i niestety wiedzę, którą nie umiała podzielić się z Izą. Zresztą ona i tak nie chciałaby wierzyć, że jej mąż więcej niż tylko zerka na atrakcyjne kobiety.

Magda poznała się z Izą ponad dwa lata temu podczas wymiany studenckiej na ostatnim roku studiów podyplomowych na filologii romańskiej. Od razu pokochała ją jak siostrę. Izabella właśnie przeżywała rozterki związane ze ślubem, a Magda rozważała wyjazd z rodzinnego Chateauroux i przeprowadzkę na stałe do Polski. Miesiąc później Iza wzięła ślub z Dębskim i zamieszkała u niego. Szczęśliwie okazało się, że Pharmic-aptex, firma, w której pracowała Magda, dopiero rozwijała sieć usług w Polsce i miała wakat na stanowisku zastępcy dyrektora działu klientów biznesowych w Warszawie. Magda bez wahania rzuciła się na głęboką wodę, wyprowadzając się do wschodniej Europy i odważnie stawiając znaczący krok na drodze swojej kariery. Z pewnością to znajomość języka polskiego była jednym z kluczowych atutów w ubieganiu się o to stanowisko, ale Magdalenie nie robiło to różnicy. Po niecałym roku nadrobiła niedociągnięcia w wiedzy i doświadczeniu, a z czasem objęła samodzielne stanowisko. Ryzyko się zatem opłaciło. Jednak, gdyby nie wsparcie i wiara Izabelli, nigdy nie zdecydowałaby się na takie posunięcie.

Dubois od początku odradzała przyjaciółce ślub z Tomaszem. Nie ufała mu jak dzikiemu psu. Było w nim coś niepokojącego. Poza tym w firmie ciągnęła się za nim niesławna reputacja, którą zyskał na długo przed tym, jak Magda objęła stanowisko dyrektora, a którą ponoć „zbudował" już za czasów studenckich… I przezwisko *Galant* – co dla niewtajemniczonych tłumaczono jako elegant, mężczyzna grzeczny i wytworny, jednakże Magdalena była na kilku wyjazdach integracyjnych, na których poznała fakty, jakie strach było cytować. Z tą wiedzą przydomek *Galant* zyskiwał swoje prawidłowe brzmienie – zalotnik, bawidamek, kobieciarz… Mogły to być skądinąd tylko plotki, ale podobno w każdej plotce jest ziarno prawdy. Magda przypuszczała, że w tej kryje się minimum kilka ziaren, a że orzech kokosowy to też ziarno… W każdym razie, gdyby uznać, że Magda nie przepadała za Tomaszem, nie byłoby ani odrobiny kłamstwa w tym stwierdzeniu. Zwłaszcza, że zanim Tomasz zorientował się, że Magdalena jest dobrą koleżanką Izabelli, wykazywał wobec niej chorobliwe zainteresowanie na firmowych korytarzach…

To małżeństwo od początku było pomyłką, lecz Dubois nie wiedziała jak wyplątać z niego Bellę. Ta dziewczyna nigdy nie zostawiłaby męża i nawet nie chciała słyszeć o rozstaniu, jednakże tęskne spojrzenie w stronę mężczyzny stojącego w cieniu filaru, po drugiej stronie parkietu, było co najmniej zastanawiające…

– A więc przyznajesz się, że się gapisz i że Porter to kawał ciacha?

– No wiesz!? Ja… ja… – Izabella o mało nie zakrztusiła się własnymi słowami. – Absolutnie nie! – zaprotestowała gorliwie, ale już nie było odwrotu. Musiała przyznać przed sobą to, co oczywiste. Wincent Porter był zachwycający

i z wiekiem tylko nabierał urody. Był raptem cztery lata starszy od Izy, ale łatwo było o tym zapomnieć, dzięki niewątpliwemu sukcesowi finansowemu, jaki osiągnął. A przecież w tym niespełna trzydziestoletnim ciele tkwił młody, silny mężczyzna o rozbuchanych pokładach wiecznie niespożytej energii. Tak przynajmniej opowiadał Michał, gdy wracał z treningów, a Iza odnajdywała kolejne siniaki na wielkim ciele brata i dziwiła się, jakim cudem ktokolwiek mógł temu olbrzymowi zadać tak dotkliwy cios. A jednak Winsowi ten wyczyn udawał się i to niejednokrotnie.

Magda miała teorię, że większość mężczyzn przez dwadzieścia cztery godziny na dobę myśli tylko o jednym. Jeśli tak, to Porter z pewnością był królem tych wszystkich napalonych samców, co niejednokrotnie potwierdzał wianuszek pięknych kobiet w jego otoczeniu.

Gęste włosy w kolorze węgla sięgały mu do kołnierzyka koszuli, gdzie zawijały się w kuszącą falę, która szeptała: dotknij mnie, sprawdź, jaka jestem jedwabista w dotyku, jaka miękka, przekonaj się i zanurz we mnie swoje palce… Bezspornie niejedna kobieta musiała ulec tym podszeptom. Taki mężczyzna nie mógł być grzecznym chłopcem i sądząc po opowieściach męża Izabelli i niektórych wspomnieniach jej brata z czasów studiów – nie był. Mimo wszystko od lat budził w Izabelli coś, czego się bała, coś, czego nie powinna czuć…

Równocześnie Izabella trwała w przekonaniu, że Porter nie przepada za jej towarzystwem. Wielokrotnie przyłapała go na tym, jak w różnych okolicznościach unikał spotkania, a już na pewno nie przypominała sobie, aby od tamtego czerwca – siedem lat wstecz, mieli okazję porozmawiać gdzieś tylko we dwoje. To chyba dobrze, mówiła

sobie – dziś nie miała ochoty na poznawanie jego mrocznych tajemnic, nie po tym co jej wtedy zrobił. To wszystko było chwilowe, już nieistniejące, nieważne po latach, zapomniane… Prawie zapomniane…

Magdalena nazwała Winsa dziełem sztuki. Nie sposób było jej nie przytaknąć. Jego wyżyłowane, ale jednocześnie potężne ciało było niczym posąg perfekcyjnego twórcy. Każdy świetnie wyrzeźbiony mięsień prężył się i rósł pod opinającą tors, dopasowaną, białą koszulą, z zadziornie postawionym kołnierzykiem i podwiniętymi do łokci rękawami. Niebieskie jeansy otulały zabójcze pośladki na kształt zachłannych kobiecych dłoni. Bosko ociosana szczęka, niezmiennie przyprószona czarnym, kilkudniowym zarostem, kazała wierzyć w cuda, a smakowite, pełne usta, które non stop wykrzywiał w kuszącym uśmiechu, ukazując równe białe zęby, wołały o pocałunek… Nieraz widziała, jak w jego oczach tańczą rozkoszne ogniki. Oczywiście zawsze, za wyjątkiem spojrzeń, które jakimś cudem dopełzały w stronę Izabelli. Te spojrzenia były głębokie jak morska toń, ale i chłodne jak ona, jakby niewidzące, dzikie, a jednocześnie przepełnione przerażającym cierpieniem. Swego czasu Izabella oddałaby życie, by poznać przyczyny tego bólu. Później los przekuł to zainteresowanie w jej własną udrękę, a gdy zapomniała, a przynajmniej tak sobie wmawiała, tęsknotę i ból zastąpiła samotność, której nie umiał ukoić nikt, nigdy, nawet Tomasz – zwłaszcza on. Iza wiedziała, że nie zrozumiałby tego nikt, kto nie doświadczył samotności obok drugiego człowieka, dlatego nie przyznała się do tego uczucia nawet Magdzie…

Nie zdążyła zareagować, gdy ich spojrzenia połączyły się w pełen napięcia, piorunujący pomost. Na uśmiechniętą dotąd twarz Wincenta wpełzł nieodgadniony grymas,

ale i tak nie zdołało to zepsuć oszałamiającego zmysły wrażenia. Bez pamięci przepadła, zatonęła w jego akwamarynowych tęczówkach i nie chciała, aby ktoś ją ratował, choć burza w nich szalejąca bardziej przypominała sztorm niż spokojny ocean o zmierzchu. Stali tak przez chwilę nie mogąc oderwać od siebie oczu, kiedy poczuła, jak na jej plecach pojawia się dłoń, a druga zaciska się na nadgarstku. Zmieszana odwróciła wzrok od Portera i dostrzegalnie się zarumieniła.

– Dobrze się bawisz, kochanie? – spytał Tomasz tajemniczo podejrzliwym tonem. Przyciągnął ją mocniej do siebie i dotknął jej ust zdawkowym pocałunkiem.

Magdalena gdzieś zniknęła. Tomek nie wyglądał na zdenerwowanego, aczkolwiek Izabella bez trudu wyczuwała dziwną atmosferę, która od jakiegoś czasu panowała pomiędzy nimi. Dominująca w jego oddechu dość silna woń wódki, wcale nie poprawiała sytuacji.

– Masz wypieki na twarzy. Nie mów mi, że będziesz chora. Wiesz, że w poniedziałek wyjeżdżamy na konferencję do Genewy i nie byłbym zadowolony, gdyby twoje zdrowie przeszkodziło nam w tych planach.

Genewa. To miasto nie kojarzyło się Izie dobrze, ale jej męża obchodziło to tyle, co przedwczorajszy odcinek „Mody na sukces".

– Nie, to nic takiego. Chyba wypiłam o jednego drinka za dużo – skłamała, choć właśnie kończyła pierwszego i to mocno rozwodnionego.

Tomasz popatrzył na nią z ukosa, nienaturalną miną wykrzywiając przystojną twarz.

Jego kasztanowe włosy kilka miesięcy temu zaczął pokrywać bielejący woal. Ojciec Tomka osiwiał totalnie już w wieku trzydziestu pięciu lat. Tomasz wiedział, że nie

zostało mu wiele czasu, a jednak nie martwił się zbytnio. Siwe włosy dodawały mu powagi, a to było wskazane na stanowisku głównego dyrektora Wydziału Księgowości Pharmic-aptex na centralno-wschodnią Europę.

– Nie lubię, kiedy pijesz! – warknął. – Kobieta powinna zachować umiar.

– Dziś jest wyjątkowa okazja. Bądź, proszę, bardziej ludzki – podkreśliła Izabella.

– Nie chciałbym, abyś zrobiła z siebie pośmiewisko. Wystarczy, że Wincent błaznuje.

– Świętuje, nie zabraniaj mu tego. Ty także powinieneś. Otwarcie Tortory to dobra sposobność. Uczcij je razem z nim, zwłaszcza, że teraz jesteście pełnoprawnymi wspólnikami. I choć wciąż powtarzasz, że nie będziesz tu przychodził, to od dziś to także twój klub i powinieneś dobrze pełnić rolę gospodarza, nawet podczas nielicznych wizyt.

– Masz rację – złagodził ton. – Wypada pokręcić się po klubie i zwąchać kąty. Chodź! – Pociągnął ja za sobą, w jasnym tylko dla niego celu, w kierunku głośno śmiejącej się i żartującej trójki.

Nocny klub, którego Dębski właśnie stał się współwłaścicielem, otworzył swoje podwoje już dwa tygodnie temu, ale to dziś było oficjalne przyjęcie dla przyjaciół i specjalnych gości. Co prawda do dopracowania została jeszcze malutka restauracja, będąca flagową atrakcją klubów w sieci, bo Wincent chciał dopilnować wszystkiego osobiście i sprawa trochę się przedłużyła, ale generalnie mogli już ogłosić sukces. Gdyby nie Urszula, menedżerka klubów Winsa, Tomasz nigdy nie podjąłby się takiego biznesu, ale raz się żyje, myślał, gdy mijał skąpo ubraną, krótko ostrzyżoną brunetkę, która uśmiechała się do niego bezwstydnie. Jej ciało budziło w nim żądzę, jakiej nie

odczuwał w stosunku do żony. Wyprostował się i uśmiechnął znacząco, a w jego oku pojawił się drapieżny błysk.

Izabella jednak zdawała się nie zauważać oczywistych sygnałów, sunąc lekko niczym zjawa tuż obok, niby obecna, a wciąż tak daleka.

Przeszli przez prawie pusty parkiet, zwracając uwagę kilku gości. Dębski pamiętał, jakby to było wczoraj, dzień, w którym Iza przysięgła mu, że nigdy go nie zdradzi. Obiecywała, że jeśli tylko będzie tego chciał, ona będzie tylko jego, że jest jej pierwszym i ostatnim mężczyzną. Że nigdy nie będzie nikogo ponad nim. Tomasz nie był frajerem i z oczywistych powodów nie uwierzył, że żona dotrzyma tej obietnicy. Mogła być wszakże w tej kwestii równie naiwna jak Wincent, lecz tak istotnych spraw nie pozostawia się swojemu biegowi. Ojciec nauczył Tomasza, że żony trzeba pilnować, zwłaszcza takiej jak Izabella, a że raczej nie bez przyczyny został senatorem, toteż Tomasz słuchał uważnie, jakich rad udziela mu rodzic i stosował się do nich z reguły bezkrytycznie. Nawet po jego śmierci nie zdewaluowały swojej wartości, a nauki niegdyś przekazane jedynie nabrały w oczach Tomasza sił i znaczenia.

Dębski uważał się za inteligentnego faceta i wiedział, że jego młoda żona wzbudza zainteresowanie mężczyzn. Od siedmiu lat, kiedy zaczął interesować się Izabellą, parokrotnie zmuszony był pokazywać, do kogo ta kobieta należy. Jej pełne kształty, jędrny biust i wąska talia już nie jednego przyciągnęły w jej kuszącą orbitę. Biedne, ślepe, napalone przybłędy nie wiedziały na co się porywają… Tomasz wiedział, że Izabella dba o swoje ciało, odżywiała się zdrowo i dietetycznie. Prostodusznie zdradziła mu kiedyś, że ma w planach pójść z Magdą Dubois na kurs

tańca do Akademii Marca Torrino, ale Tomasz nie podzielił jej entuzjazmu, więc odpuściła, najwyraźniej nie chcąc burzyć ciężko wypracowanego spokoju. Podejrzewał jednak, że każdego poranka, kiedy on wychodzi do pracy, ona opuszcza dom, aby pobiegać. Niefortunnie na to chwilowo nie miał wpływu. Izabella była odrobinę staroświecka, ubierała się skromnie, ale zawsze modnie i z klasą. Ta niewinność i dziewczęcość, które przyciągały do niej innych mężczyzn, od dłuższego czasu drażniły samego Tomasza. Właściwie od czasu ich ślubu, ale dopiero teraz, kiedy poznał Urszulę, uznał, że umiarkowanie żony wcale nie jest jej zaletą, zwłaszcza w konfrontacji z bezpośrednią i odważną kochanką. Nie umiał jej jednak zostawić i nie chciał. Była żoną wręcz podręcznikową. Dobrą, kochającą, posłuszną i usłużną. To była kobieta, z którą można założyć rodzinę, która z chęcią podtrzyma domowe ognisko, z której można być dumnym i pokazać w towarzystwie, kobieta, która urodzi piękne i zdrowe dzieci. Oj tak, jej biodra i piersi niegdyś dawały na to sporą nadzieję.

Do niedawna to pozostawało niezmienne w jego uczuciach do żony – zazdrość i pragnienie, aby urodziła mu potomka. W ich małżeńskim łożu niestety nie płonęło, nie wrzało jak w przypadku związku z Urszulą. Może na początku chciał, aby tak było, ale nigdy tego nie osiągnął, a świadomość, że jego piękna, młoda żona jest oziębła i nie odczuwa przyjemności z seksu, hamowała i jego popęd wobec niej, czego nie omieszkał wielokrotnie wywlec podczas małżeńskich kłótni. Kiedy więc w końcu, dwa miesiące temu, poznał Urszulę zrozumiał, że nie może dłużej oszukiwać sam siebie i udawać, że czerpie rozkosz z nielicznych zbliżeń, których *notabene* zaprzestali już pół

roku wcześniej. Dokładnie w momencie, gdy wstępne badanie lekarskie praktycznie potwierdziło jego najgorsze przypuszczenia – Izabella była bezpłodna, jałowa jak spalona słońcem pustynia. Wszystkie kawałki zagadki zaczęły łączyć się w logiczną całość i dawać Tomaszowi przerażający obraz marnej przyszłości przy bezużytecznej żonie. Przestał proponować Izie seks, a ona będąc zbyt pruderyjną i ewidentnie zimną, sama nic nie sugerowała. I dobrze. I tak nigdy nie osiągnęła orgazmu. To pewnie przez te jej durne powieści dla niewyżytych kur domowych, które tak namiętnie czytuje, myślał. Od zawsze był przekonany, iż taka literatura jedynie psuje kobiety, ale nie mógł zabronić jej i tego. Przed ślubem pochopnie wyrwało mu się stwierdzenie, że pozwoli jej pracować, a że akurat od czasu do czasu redaguje serię romansów dla wydawnictwa kobiecego – trudno. Kiedyś te się skończą, a przyjdą następne. Zresztą, jakie to miało znaczenie. Problem w ich związku był od dwóch lat, kiedy zaczęli ze sobą sypiać. Boże, i to jej infantylne przekonanie, że seks powinien być dopiero po ślubie… Cóż, na nieszczęście Tomasza, z Izabellą był dopiero po ślubie, bo gdyby wiedział, jaką jest kochanką na pewno dobrze by się zastanowił, zanim zdecydowałby się z nią ożenić. Kiedy przez pięć lat randkowali i dziecinnie prowadzali się za rękę po parku, ona nie dała się nawet tknąć. Mówiła, że musi skończyć studia, że prawdziwe uczucie należy przypieczętować dopiero po przysiędze małżeńskiej, złożonej w obecności Boga i najbliższych… Słowa, słowa… A przecież Dębski był prawdziwym mężczyzną i nie mógł czekać aż do nocy poślubnej z tak istotnym elementem życia. Seksu zasmakował długo przed poznaniem Izabelli, a więc bezpodstawne było rezygnowanie

z niego – nawet, gdy zaczęli się spotykać jako para. Kilka małych, potajemnych spotkań z tą lub inną dziewczyną nikomu krzywdy nie zrobiły, zwłaszcza, że w dniu, kiedy poprosił Izabellę o rękę postanowił sobie, że wytrwa w wierności małżeńskiej. On też umiał coś postanowić.

Mamy dwudziesty pierwszy wiek na litość boską, czas wolności w każdym tego słowa znaczeniu! Wytrwałem prawie dwa lata, wystarczy! – podsumował w myślach, doprowadzając żonę w zamierzone miejsce w kącie sali.

– Czołem, wataha! – Tomasz z zaskakująco nienaturalnym entuzjazmem przywitał grupę trzech mężczyzn wesoło rozprawiających o przewadze dużych cycków nad małymi. Kiedy spostrzegli, że fragment ich żywej dyskusji mógł dotrzeć do uszu Izabelli – zamilkli.

– Niegdyś i ty byłeś jej członkiem – odburknął zgryźliwie Eryk. – Ale to było dawno…

Ten wysoki szatyn, ubierający się w stylu łączącym biurową elegancję z heavymetalowym koncertem, był najlepszym przyjacielem Wincenta. który patrzył teraz na Izabellę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy balansującym na granicy nieprzystępnego chłodu i niepokoju.

– Wiele się zmieniło, ale myślę, że nadal jestem – syknął Tomasz.

– Pewnie, stary. To oczywiste – przytaknął Wincent swoim głębokim basem, piorunując nim jak zwykle otoczenie. Uśmiechnął się smutno. – Przepraszam was, obowiązki wzywają – popatrzył wymownie na Tomasza, ale temu nie w głowie była praca. – Do rychłego, Bella – kiwnął w jej stronę i odszedł.

Właśnie tak wyglądały ich spotkania i Izabella nie mogła pojąć, dlaczego. Początkowo, gdy się poznali, był dla niej miły, stopniowo stał się czuły i delikatny, opiekuńczy.

Z czasem ich przyjaźń przerodziła się w coś więcej. I nawet kiedyś raz ją pocałował, tak prawdziwie, jak chłopak dziewczynę, na pożegnanie, gdy wyjeżdżał do Trójmiasta, do domu babci na wakacje. Obiecali sobie wtedy, że zobaczą się za miesiąc i porozmawiają o przyszłości. Tak wiele było do omówienia. W tym czasie, gdy uczucie rosło w jej piersi i mieszało się rozkosznie ze zżerającymi ją od środka tęsknotą i pożądaniem, w jej życiu pojawił się Tomasz Dębski, z którym to, o ironio, poznał ją sam Wincent. Dni tego lata mijały jej jednak na oczekiwaniu, a krew w jej żyłach tętniła tylko dla Winsa. Zaskakująco Porter po wakacjach nie powrócił do Warszawy, a on podobno nie łamał złożonych obietnic. Przestał z nią w ogóle rozmawiać – jakby nie istniała. Później Majka, brat Izabelli, wspominał raz czy dwa, że Porter nigdy więcej nie zjawił się na treningu w klubie, że wyjechał na dwa lata do Stanów, a później zadekował się w Sopocie i rozkręcał interesy, że tego lata zmarła jego babcia… Ale czy to usprawiedliwiało taką zmianę? Jaką dawało mu podstawę do tak okrutnego zachowania? Serce bolało ją od nagłego zwrotu w ich relacjach, ale nie odważyła się zapytać, co ją spowodowało. Po paru miesiącach naturalnym odruchem przeniosła uczucie na Tomasza. Kochała więc męża na swój oryginalny sposób, lecz już dawno zapomniała, jak to jest czuć żar i pragnienie, zaborczość i namiętność, żarliwość i ogień, którymi niegdyś obdarzyła Portera. Zapomniała jak to jest kochać kogoś miłością tak silną, że rozrywa duszę, a serce pozostawia krwawą miazgą. Chciała zapomnieć. Dziś już tylko krótkie wymiany spojrzeń dawały jej znać, że Porter wciąż ją widzi, choć nie patrzył na nią tak, jak kiedyś. A ona nie patrzyła na niego jak dawniej.

– Jak tam, siostra? – zagaił Michał, wyrywając Izę z objęć zamazanych już wspomnień.

– Cieszę się, że udało ci się przyjechać – uśmiechnęła się ponuro, spostrzegając fioletowe zasinienie pod jego okiem. Gdy zorientował się, że mu się przygląda, zaśmiał się serdecznie.

– Spokojnie, tamten wygląda znacznie gorzej – odparował, szczerząc białe zęby.

Michał Colombe był niezwykle wysoki i potężnie zbudowany. Ale Iza od zawsze podziwiała go za jego niespotykanie silny charakter i determinację. Od śmierci ich rodziców opiekował się nią troskliwiej niż tego potrzebowała. Do tej pory nie wiedziała jakim cudem wtedy, gdy ona była jeszcze nastoletnim podrostkiem, on godził treningi z niańczeniem dorastającej dziewczyny, dbaniem o dom, swoimi studiami, jej wywiadówkami i pomocą w odrabianiu lekcji. Na szczęście dzięki horrendalnie wysokiemu odszkodowaniu od linii lotniczych Michał mógł zacząć studia dzienne bez konieczności podjęcia dodatkowej pracy, aby ich utrzymać.

Majka fizycznie był zupełnym przeciwieństwem siostry i tylko takie same, wciąż rozmarzone, szare oczy, otoczone gęstą firaną rzęs świadczyły o tym, że są rodzeństwem. Poza tym Iza podobna była bardziej do matki, Michał otrzymał niemal sto procent francuskich genów ich ojca.

Gdy dwa lata temu Izabella wyszła za mąż za Tomka, Michał bez cienia wahania zdecydował się wyjechać do Monachium, aby tam kontynuować karierę sportową. Iza podświadomie wiedziała, że tylko ona stała na drodze swojego brata do rozwoju kariery, ale on nigdy tego nie przyznał.